

## 1. Krótka historia rodziny (do r. 1939)

Średniozamożna rodzina inteligencka (ojciec sędzia sądu wojewódzkiego w Stanisławowie), matka nie pracująca zawodowo, lecz zajmująca się domem wraz z pomocą domową, dziadek, dwie córki w liceum humanistycznym: starsza lat 18., młodsza 17. (w chwili wybuchu II wojny światowej). Trzypokojowe ładne mieszkanie z radiem i fortepianem (starsza córka uczyła się gry na tym instrumencie). Wakacje w pobliskich Karpatach, częściowo we Lwowie, u rodziny matki.

## 2. Losy wojenne

Tuż przed wybuchem II wojny światowej wyczuwało się jakiś niepokój, a niemieckie radio w Gliwicach transmitowało niepokojącą audycję "Czy to nie jest dziwne?" O wybuchu tej wojny dowiedziałam się rano, ok. godz. 6,30. w pobliskim kościele, po mszy św. Ksiądz ogłosił, że Niemcy napadli na Polskę. Śpiewaliśmy "Boże coś Polskę", mając świadomość, że zaczęło się coś strasznego i że nawała nadciąga na naszą ojczyznę. A my miałyśmy 3. września, w poniedziałek, iść do szkoły. Okazało się, że na razie lekcji nie będzie.

17. września dowiedzieliśmy się, że armia czerwona przekroczyła naszą wschodnią granicę. Wkrótce zajęła Stanisławów. Zdając sobie sprawę, że władze sowieckie usuną wiele książek polskich z biblioteki szkolnej, w porozumieniu z polniczką, wywieźliśmy te "zakazane" książki do jej mieszkania. Baliśmy się Sowietów, gdyż przed wojną czytaliśmy o bolszewikach i ich postępowaniu. Wkrótce zaczęli wprowadzać nowe, swoje porządki. Szeroką grupę osób z polskiej inteligencji zo-

stało aresztowanych, między innymi nasz ojciec. Przesiedział dwa tygodnie. Ciężko przeżyliśmy ten okres, nie wiedząc czym się skończy jego uwięzienie. W związku z rocznicą rewolucji październikowej odbyły się pochody po ulicach miasta i barwne widowisko: m. in. na ciężarówce wieszono kukłę polskiego oficera, na pośmiewisko. Na ulicach tłumy mieszkańców, zwłaszcza Ukraińcy i Żydzi brali w tym udział, podobnie jak w powitaniu "wyzwoliciele" od "pańskiej Polski". Wasza rodzina nie brała w tym udziału. Stało się oczywiste, że Rosjanie nie prędko opuszczą "Zapadną Ukrainę", jak nazywali naszą Małopolskę Wschodnią. Trzeba więc było jakoś ułożyć życie rodziny w nowych warunkach. Ojciec postarał się o pracę przy pomocy znajomych: został dozorcą jakiegoś magazynu. Ponieważ zarabiał niewiele, matka sprzedawała co się dało z posiadanych przez nas rzeczy: odzieży, obuwia, różnych drobiazgów domowych. Ja z siostrą poszliśmy do szkoły, którą władze sowieckie wkrótce otworzyły. Była to już inna szkoła średnia, niż nasze, polskie liceum humanistyczne, lecz tzw. "desiatylitka", typu raczej matematycznego, koedukacyjna (nasze państwowe liceum im. ks. Franciszka Skarbowskiego było żeńskie), "wymieszane" nas solidnie, zarówno nauczycieli jak i uczniów z różnych gimnazjów stanisławowskich. Dla łaciny nie było miejsca w tej rosyjskiej szkole, a uczący nas przed wojną jej profesor, musiał szukać innego zajęcia. W tej nowej sytuacji szkolnej ja znalazłam się w X klasie (maturalnej), a młodsza siostra w kl. IX.

Warunki domowe bardzo się pogorszyły: opalona była tylko kuchnia, gdyż trzeba było coś gotować do jedzenia. Wasza ostatnia pomoc domowa poszła do pracy państwowej, by nie "służyć państwu". Zresztą i tak nie stać nas było już na pomoc domową. Wkrótce nastąpiły nowe porządki sowieckie. Jeden z naszych pokoi zajął oficer rosyjski, a po jego wyprowadzeniu się, polska rodzina robotnicza z dzieckiem. Kuchnia była wspólna, co bardzo utrudniało życie. W najgorszej sytuacji

znajdował się dziadek, który stale leżał w łóżku, w nie opalonym pokoju. To przyspieszyło jego śmierć w zimie 1940 r. Po jego śmierci zamieszkaliśmy w jego pokoju, przylegającym do kuchni, gdzie było trochę cieplej niż w drugim pokoju, który dotychczas zajmowaliśmy.

Wkrótce zaczęła się dla mnie nowa udręka: kilkakrotne wzywanie na przesłuchania do NKWD. Chodziła tam ze mną matka, czekając, aż wyjdę. W sąsiednim pokoju przysłuchiwało moja koleżankę. Młodszej siostry nie wzywano, lecz tę młodzież, która ukończyła 18. lat, a więc u sowietów uchodziła za pełnoletnią, czyli w pełni odpowiedzialną. Nie bito mnie, ale te "rozmowy", bardzo mnie nerwowo wyczerpały. Z trudem skończyłam pierwsze półrocze nauki w szkole. Na drugie już nie miałam siły i przerwałam naukę. W domu próbowałam pracować chałupniczo: haftowanie na płuciennych sukienkach. Okazało się to nieopłacalne, gdyż nie wyrabiałam normy. Powodowało też ból oczu bardzo silny, a od kilku lat nosiłam okulary. Zrezygnowałam więc z tej pracy. Czułam się fatalnie: silne osłabienie, zawroty głowy, stan podgorączkowy. W domu sprzątałam, gotowałam bardzo skromne posiłki, reperowałam i cerowałam coraz bardziej zniszczoną odzież, przerabiałam garderobę i tp.

Ze zgrozą dowiedzieliśmy się, że NKWD posiada listy osob, przeznaczonych na wywóz na Sybir. Istotnie, wkrótce rozpoczęło się wywożenie w głąb Rosji. Zdawaliśmy sobie sprawę, że naszą sędziowską rodzinę chyba to nie ominie. Ze Lwowa otrzymaliśmy wiadomość, że wój matki, były prezes sądu i stryjek oficer zostali aresztowani. Zaś jego żona z kilkunastoletnią córką zostały wywiezione do Kazachstanu. Przetrvanie duchowe tego tak trudnego okresu zawdzięczam codziennemu uczestnictwu we mszy św. w pobliskim kościele.

W czerwcu 1941 r. Niemcy hitlerowskie napały na Związek Radziecki. Rozpoczęły się naloty samolotów niemieckich. Sowieci wycofywali się na wschód, obiecując, że tu wkrótce wrócą. Na razie odczuwaliśmy wielką ulgę, że odeszli sowieci i ominęła nas wywózka na Sybir, gdyż, jak ma-

na dowiedziała się, byliśmy na dalszej liście, a więc nie udążyli. Zaczęły się nowe, niemieckie tym razem porządki. Wkrótce Niemcy zajęli nasze miłe, słoneczne mieszkanie, przeznaczając nam stare, pożydowskie. Żydzi bowiem zostali zamknięci w getcie przez Niemców. Ojciec i siostra pracowali na niskopłatnych posadach, matka sprzedawała resztki naszego mienia na tzw. targowicy, ja pracowałam w domu, nadal chora, chyba także z niedożywienia. Ponieważ nie zanoszko się na rychłe zakończenie wojny, powstawały tajne organizacje, mające na celu walkę z niemieckim okupantem. Ojciec nie zdecydował się wstąpić do proponowanej mu AK, gdyż czuł się odpowiedzialny za rodzinę i nie chciał nas narażać na obóz lub śmierć. Tymczasem Niemcy pod pretekstem współpracy nauczycieli z sowietami, rozstrzelali niemal wszystkich pedagogów gimnazjalnych, a także grupkę młodzieży, należącej do AK lub innej tajnej organizacji. Rodzina nasza, nie należąc do takich organizacji, codziennie walczyła o przetrwanie i przeżycie jej członków. To może nieefektywna walka, ale celem podobnych nam rodzin było przeżycie wojny, by móc pracować dla przyszłej Polski. Tymczasem Niemcy posuwali się w głąb Rosji, zajmując coraz to inne miasta, gdzie zaprowadzali swoje porządki. Grozę budziły łapanki na ulicach i wywożenie młodych ludzi do Niemiec do przymusowej roboty lub do obozu zagłady. Pewnego razu, idąc z matką i siostrą, natknęłyśmy się przypadkowo na taką łapankę. Chyba cudem, nie włączono mnie z siostrą do prowadzonej pod strażą kolumny. Może wyglądałyśmy zbyt młodo. Wkrótce Niemcy ponownie zabrali nam mieszkanie, przeznaczając dla nas gorsze. Teraz zamieszkaliśmy prawie na przeciw jezuickiego kościoła, do którego często uczęszczaliśmy. Wojna przeciągała się, warunki życia stawały się coraz trudniejsze, bo nie wiele pozostało już rzeczy w domu do sprzedawania. Tymczasem atak Niemców w Rosji zaczął się załamywać, Rosjanie odgierali natarcia wroga, odzyskiwali coraz to nowe miasta. Wreszcie stało

się widoczne, że Niemcy cofają się na zachód. W 1944 r. armia czerwona przekroczyła granice Polski z 1939 r., zajmując szereg miast. Wkrótce dotarła do Stanisławowa. Ojciec i siostra po maturze znaleźli jakąś pracę, matka wysprzedawała to, co jeszcze nadawało się do sprzedaży, ja w dalszym ciągu "rezydowałam" w domu. Zaczęły się ponowne aresztowania Polaków przez NKWD i "zachęcanie" do wyjazdu do Polski. Trudno nam było uwierzyć, że Lwów, Stanisławów i Wilno oraz tzw. kresy wschodnie nie będą należały do Polski, a granicą będzie rzeka Bug. Polacy wyjeżdżali na zachód transportami kolejowymi, organizowanymi przez Sowietów. Byli jednak tacy, którzy nie chcieli wyjeżdżać. Ojciec też ociągał się z wyjazdem, łudząc się, że tu wrócą władze polskie. W związku z tym spotkały mnie represje ze strony Sowietów. Jesienią 1944 r. władze sowieckie zorganizowały na terenie byłego getta żydowskiego coś w rodzaju dziennego miejsca pobytu młodych kobiet, w pustej, pożydowskiej kamienicy. Tam spotkałam m. in. znajomą śpiewaczkę. Nie było tam żadnego sprzętu, więc siedziałyśmy na materacach lub starych kołdrach, przyniesionych z sobą. Nie było też żadnego zajęcia, więc zabierałyśmy coś do szycia czy roboty na drutach, książki itp. Od czasu do czasu odwiedzał nas oficer rosyjski. To napełniało nas trwogą, bo nie było wiadomo czego od nas zarządzą. Od tej udręki uwolniło mnie przeziębienie i zaświadczenie lekarskie, zwalniające mnie z tego powodu od konieczności przychodzenia do tego swego rodzaju obozu. Dopiero gdy ojciec zdecydował się zapisać na wyjazd do Polski, ustały represje. Czekałyśmy na swoją kolejkę do transportu, przygotowując się do wyjazdu. Wreszcie we wrześniu 1945 r., sprzedawszy poprzednio meble, otrzymaliśmy zawiadomienie o dniu wyjazdu. Udaliśmy się więc na dworzec kolejowy, gdzie na bocznicach podstawione były wagony, niestety, towarowe, a raczej lory bez dachu. Dwie noce przesiedzieliśmy na stacji, zanim podstawiono nasz pociąg. Mieliśmy z sobą trochę osobistych rzeczy, pościel, suchary i nie-

co innej żywności. Opuszczaliśmy Stanisławów późnym popołudniem 24. lub 25. września. Stałam na lorze, a ponieważ nie miała dachu, patrzyłam jak znikła mi z oczu w zachodzącym słońcu ziemia, gdzie przeżyłam 24. lat. Tutaj zostało moje dzieciństwo i młodość. Ciężar wyjazdu osładzała mi myśl, że w tej Polsce, do której jechałam, są kościoły katolickie i msza św. Transport skierowano na Dolny Śląsk, czyli na tzw. Ziemię Odzyskaną. Podróż utrudniał nam brak dachu w wagonie towarowym, więc zrobiliśmy jakieś prowizoryczne zadaszanie, by uchronić się od zimnego prądu powietrza i ewentualnego deszczu. Nie padało jednak. Po około 10. dniach, transport dotarł do miasteczka Grodów, na Dolnym Śląsku, gdzie znajdował się punkt rozdzielczy urzędu repatriacyjnego. Ojciec udał się do Wrocławia w poszukiwaniu pracy. Okazało się, że najbliższa praca dla niego, jako sędziego, znajduje się w Środzie Śląskiej, gdzie miał organizować sąd.

Ja nie pojechałam na Dolny Śląsk, lecz zatrzymałam się w Krakowie u znajomych matki. Jedną z nich prowadził zakład krawiecki z prawem przygotowywania uczennic do egzaminu czeladniczego. Postanowiłam skorzystać z tej możliwości i zanim przygotuję się do matury, uzyskać krawiecki egzamin czeladniczy, by mieć jakiś zawód, zwłaszcza, że lubiłam szycie i w czasie wojny przerabiałam i szyłam dla siebie i rodziny, jako samouk. Sytuacja moja ułożyła się w ten sposób, że mieszkałam u sióstr zakonnych, obiady dostawałam PUKi (Państw. Urzędzie Repatriacyjnym), uczyłam dziewczynkę w wieku szkolnym i trochę pieniędzy posyłał mi ojciec. Praktykę krawiecką pobierałam u wspomnianej krawczyni. W 1946 r. złożyłam z pomyślnym wynikiem krawiecki egzamin czeladniczy we Wrocławiu. Nie przeżywałam trudności adaptacyjnych np. z racji mego pochodzenia ze wschodnich regionów Polski. Obracałam się bowiem wśród repatriantów z tantych stron. Trudną była natomiast do zniesienia początkowa pro-

wizoryczność, wyrażająca się m. in w zmianach mieszkań i braku stabilizacji zawodowej. Z kolei rozpoczęłam przygotowywać się do eksternistycznej matury wg instrukcji TUR (Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych), które organizowało taką maturę w Warszawie. W międzyczasie znajoma mgr Farmacji ze Stanisławowa, osoba samotna, potrzebowała kogoś do pomocy w domu i w aptece. Skorzystałam z tej okazji i pracując, przygotowywałam się do matury. Złożyłam ją pomyślnie w Warszawie, w kwietniu 1948 r. Po maturze marzyły mi się studia humanistyczne. Gdy jednak wyczytałam w "Tygodniku Powszechnym", że Instytut Katolicki we Wrocławiu prowadzi studia wyższe dla kobiet, przygotowujące do pracy katechetycznej i parafialnej, zgłosiłam się tam i zostałam przyjęta. Zamieszkałam w internacie studenckim, obok kościoła franciszkanów. Po 4. latach studiów uzyskałam dyplom, uprawniający mnie do nauczania religii w szkole średniej. Niestety, ze względu na stan zdrowia nie mogłam podjąć się tej pracy, przeszłam bowiem w 1950 r. ciężkie zapalenie stawów. Zaś zapotrzebowanie na katechetki dotyczyło raczej małych miasteczek i wsi, gdzie nauka religii często odbywała się w tym czasie w zimnych kościołach lub salach katechetycznych. Próbkę takiej pracy miałam w czasie praktyki wakacyjnej. Wobec tego znalazłam pracę wychowawczyni w Zakładzie Dzieci niewidomych we Wrocławiu, w 1952 r. Nie mogłam w latach socjalizmu przyznawać się do moich studiów katechetycznych, wobec czego zaczęłam pracować jako niekwalifikowana i zarabiałam wskutek tego mniej. Aby stać się kwalifikowaną, rozpoczęłam zaoczne studia pedagogiczne, ukończona maturą w 1954 r. By osiąść pełne kwalifikacje z pedagogiki specjalnej z dzia-  
 ła niewidomych, zaczęłam w Warszawie taki egzamin w 1956 r. W 1958 r. zachorowałam ciężko na zapalenie wsierdza. Dwuletnie leczenie w szpitalu i w sanatorium zakończyło się rentą inwalidzką i zwolnieniem z pracy w 1960 r. Skromna renta wystarczała jednak na ży-

cie. W 1964 r. rozpoczęłam zaoczne studia bibliotekoznawstwa na uniwersytecie wrocławskim. W 1971 r. uzyskałam dyplom magistra bibliotekoznawstwa, a kilka lat później obroniłam pracę doktorską z tej dziedziny. Udało mi się więc w tym sensie odzyskać czas utracony. W 1968 r. uzyskałam wreszcie spółdzielcze mieszkanie i znalazłam się u siebie. W poprzednich latach bowiem mieszkłam różnie: w domu studenckim, w pokoju sublokatorskim, u siostry. Przez szereg lat wyjeżdżałam na wczasy organizowane przez Fundusz Wczasów Pracowniczych, dzięki czemu poznałam niemal całą Polskę. Korzystałam też z wczasów działkowych dla rencistów. Obecnie mam 70. lat, jestem osobą samotną, zadowoloną z życia. Renta inwalidzka II grupy wystarcza mi na skromną egzystencję. Spełniły się moje zasadnicze pragnienia: rozwój duchowy w sensie katolickim, rozwój umysłowy zwłaszcza poprzez studia wyższe i praca naukowa (prywatna), niezależność materialna i mieszkaniowa. A dodatkowo doczekanie III Rzeczypospolitej.

Siostra ukończyła w 1951 r. studia farmaceutyczne we Wrocławiu, gdzie pracowała w aptekach do 1989 r., obecnie na emeryturze. Zamężna, wychowała syna, doktora medycyny i córkę, po studiach ekonomicznych.

Rodzice pozostali w Środzie Śląskiej. Ojciec z czasem został prezesem sądu. Nie należał do PZPR, lecz z musu do SD. Matka zajmowała się m. in. charytatywną pracą społeczną. Ojciec zmarł w 1959 r., matka w 1961 r.

Patrząc dziś z perspektywy lat na okres okupacji przeżytej przez moją rodzinę, muszę stwierdzić, że los obszedł się z nią jednak łaskawie. Wprawdzie materialnie straciliśmy wszystko, ale po wojnie szwagier postarał się o częściową rekompensatę za mienie pozostawione na wschodzie. (Dabka posiadała tam dom z ogrodem-parkiem). Przeżyliśmy ten okres z wyjątkiem dziadka. Pozostaliśmy wierni wyznawanym



wartościom chrześcijańskim, nie współpracując z okupantami.

Dzieje dalszej rodziny:

Siostra ojca ze Lwowa: wywieziona z córką do Kazachstanu w 1940 r. Wróciły do Polski i zamieszkały we Wrocławiu. Ciocia zmarła w 1975 r. a jej córka w 1990 r. Wujek, oficer, został aresztowany i wywieziony ze Lwowa w 1939 r. i prawdopodobnie zginął w Katyniu lub innym podobnym miejscu.

---

dr Krystyna Zawadzka

ul. Jarzębinowa 4/35

53-134 Wrocław

© ARCHIWUM WSCHODNIE